

**CENA DZIENNIKA:**

w Łodzi:  
Rocznie . . . . . rs. 9 k. —  
Półrocznie . . . . . „ 4 k. 50  
Kwartalnie . . . . . „ 2 k. 50  
w Królestwie i Cesarstwie:  
Rocznie . . . . . rs. 12 k. —  
Półrocznie . . . . . „ 6 k. 50

Cena pojedynczego numeru 5 kop.

# DZIENNIK ŁÓDZKI

pismo przemysłowe, handlowe i literackie.

**CENA OGŁOSZEŃ:**

Za jeden wiersz petitem lub za jego miejsce:  
Zwykle ogłoszenia: za 1 raz 7 kop. za 2 razy 13 k., za 3 razy 18 k., za 4 razy 22 k., za 5 razy 25 k., za 6 razy 28 k. za więcej razy po 4 k. za każdy raz.  
Nekrologi: za każdy wiersz 12 kop.  
Reklamy: za każdy wiersz 15 kop.  
Stałe 3 wierszowe ogłoszenia adreso we rs. 2 miesięcznie.

**Kalendarzyk.**

Dziś: Szymona i Tadeusza Ap.  
Jutro: Narcyza B. i Euzebio P. M.  
Wschód słońca o godz. 6 m. 50. Zachód o godz. 4 m. 38.  
Długość dnia godz. 9 m. 48. Ubyło dnia godz. 6 m. 58.

**Biuro Redakcyi i Administracyi**  
ulica Cegielniana Nr. 271/b.

ADRES TELEGRAFICZNY:  
**KUŁAKOWSKI, ŁÓDŹ.**

Ogłoszenia przyjmowane są: w Administracyi Dziennika oraz w Biurach Ogłoszeń Rajchmana i Frendlera w Warszawie i w Łodzi.

Rękopisy nadesłane bez zastrzeżenia — nie będą zwracane.

**KORESPONDENCKIE.**

Warszawa, dnia 23 października.

Z jesienią zaczyna się okres ekonomiczny, który w normalnych warunkach odznacza się najznaczniejszym ruchem w handlu i przemyśle. Jednocześnie też ten początek sezonu, żywszej zazwyczaj działalności, może być miarą zwrotu na lepsze lub na gorsze. To też w takiej chwili, jak obecna, warto się zastanowić, o ile natura stanu ekonomicznego u nas się zmieniła. Badanie takie jest w naszych stosunkach niezmiernie trudne. Najsumienniejszy ekonomista nie odszuka nigdzie danych najbardziej symptomatycznych, t. j. statystycznych wykazów, któreby go przekonały, jaki był ruch handlu i przemysłu w pewnym okresie. Trzeba tu błędnie prawie poomacku, aby dojeść do jakiegokolwiek rezultatu, albo wytyczać słuch na narzekania świata handlowego, albo z pojedynczych faktów indukcyjnie wyprowadzać wnioski. Pierwsza teoria badania, oparta na żalach i skargach, wymaga dobrej znajomości psychologii kupieckiej, narzekanie bowiem jest nieodłączną cechą natury kupca, cechą, nakazaną przez interes. Zresztą dziś stało się to prawie potrzebą czasu, który pomiędzy innymi właściwościami odznacza się powszechnym niezadowolaniem, ogarniającem wszystkie sfery społeczne. Trzeba zatem posiadać wiele krytycyzmu, aby odróżnić skargi słuszne od przesadzonych. Druga teoria także często zawodzi, lecz jest z poród złych najlepszą. Jej się też w naszych uwagach trzymać musimy. Zrobimy więc pobieżny przegląd różnych gałęzi handlu i przemysłu. Na rynku zbożowym interes przedstawia się wcale nieświeżo. Tutaj wina leży w dodatnim czynniku w urodzajach, jak mówi Maucy Block w jednym ze swych artykułów „w nieszczęściu, że mieliśmy dobre żniwo.” Paradoks ten wyjaśnia znane prawo, że obfitość plonów powoduje niższą cenę i trudność zbytu, co właśnie dzieje się

obecnie. Bylibyśmy w sprzeczności z jedną z poprzednich korespondencji, gdybyśmy powyższej uwagi nie rozwinęli. Dowodzilibyśmy na temsamem miejscu kiedyś, że przewyżka zbiorów z lat urodzajnych wynagradza z procentem różnicę cen, wypadającą na niekorzyść producenta. Przy zdaniu tem i teraz obstajemy, ale jedno i drugie musi mieć swe właściwe granice, mianowicie urodzaj powinien być urodzajem obfitym, a deprecyacja niezbyt daleko posuniętą. Tymczasem w roku bieżącym okazało się po lepszym zorientowaniu, że mamy zbiory tylko pomysłniejsze od ostatnich, a niższą cenę nieproporcjonalnie do urodzaju dotkliwą. Z wielu stron kraju mamy dziś wiadomości, że ziemianie uważają tegoroczne zbiory za nieco tylko lepsze niż średnie; zaś gwałtowny spadek cen zależnym jest od ogólnego ukształtowania się handlu na rynku międzynarodowym. Tutaj zatem osiągamy znowu minus, a przynajmniej znacznie mniej, niż się spodziewaliśmy. Produkcji, ściśle związanej z rolnictwem, nie lepiej się wiedzie. Mąka po dawnemu nawet we własnym kraju wypieraną jest przez rosyjską i zagraniczną, a dla okowity koniunktury eksportowej zupełnie niema. Jedyne cukrownictwo prowadzi się zawsze z pożytkiem dla producentów, bo choć ceny nie trzymają się na wygórowanej wysokości, zmniejsza to tylko zyski, lecz nie wyłącza ich wcale. W tej gałęzi krajowego wytwórstwa, która w ostatnich latach tak pomyślnie u nas zakwitła, a która może śmiało powiększyć się w dwójnasób, a nawet w trójnasób, bo odbył korzystny i wtedy najzdnie, spoczywa może przyszła poprawa naszego rolnictwa, które bądźco bądź powinno się z czasem wyrzec swej specjalności wytwarzania tylko zboża. Przechodzimy teraz do ruchu handlowego na rynku warszawskim. Pytanie to jest zapewne dla czytelnika łódzkiego ciekawszem, gdyż od niego zależą w części widoki łódzkiego przemysłu. Możemy tu jednak dać odpowiedź tylko warunkową: mniej jest źle, niż było, ale nie jest dobrze. Ożywienia brak ciągle na rynku, atmosfera się trochę przeczyszczyła, lecz nie

zupełnie, bo i w ostatnich czasach zdarzały się w upadłości (że wspomniemy bankrutstwa kupców: A. Krella i Józefa J. Gesundheit), a wreszcie mamy taki brak gotówki, że instytucje bankowe (bank dyskontowy i towarzystwo wzajemnego kredytu) podniosły stopę procentową od prywatnych lokacji, aby przyciągnąć do swych kas pieniądze. Nasuwa się tu jednak kwestya, dlaczego kasy banków się opróżniły, skoro interesów jest niewiele, a nasze instytucje bankowe szafują, jak wiadomo, bardzo ostrożnie kredytami? Odpowiedź byłaby trudną, gdyby środek leczniczy zaaplikowany przez pomienione dwa banki, nie wskazywał jej. Widocznie publiczność prywatna mniej chętnie lokuje obecnie swe fundusze i oszczędności na rachunku otwartym i dlatego postanowiono ją zachęcić podwyżką procentu od takich wkładów. Jak się wiedzie naszym fabrykom — nie wiadomo, gdyż są to tajniki prawie nie do przeniknięcia. Większość warszawskich fabryk oparta jest na najtrwalszych podstawach i dlatego nawet w złych czasach może żyć siłą nabytą. Skończywszy ten dorywczy przegląd, musimy wypłacić dług zaciągnięty u czytelników „Dziennika”. W zeszłej korespondencji przyrzekliśmy bowiem uzupełnić jeszcze wiadomości o projektach zakupu drogi żelaznej fabryczno-łódzkiej. Przedewszystkiem jednak winniśmy sprostować błąd, zapożyczony z „Dziennika warszawskiego”, który nam do naszych uwag dostarczył materiału. Sprawiedliwość jednak każe przyznać, że naprawiamy pomyłkę również i za „Dziennikiem”. W artykule poprzednim było powiedziane, że droga iwangrodzko-dąbrowska dosyć łatwo miałaby walkę o przyłączenie dla siebie dowozu węgla do Łodzi, bo choć przebieg musi przetrzeć dłuższą, wskutek jej tańszej taryfy transport jej wypadłby taniej o 1/10 kop. na pudzie. Otóż w tym rachunku był błąd; droga warszawsko-wiedeńska bowiem pobiera od puda i wiorsty nie, jak zaznaczono, 1/45 a 1/52, gdy dąbrowska pobiera ma według taryfy 1/65, wobec czego różnica opłaty nie wyrównywa wcale różnicy przestrze-

ni, a przeciwnie, dąbrowska musiałaby dla skutecznej konkurencji obniżyć taryfę na 1/87. Przytoczymy tu w całości znane już częściowo warunki, jakie proponuje kolej warszawsko-wiedeńska za zakup kolei łódzkiej: 1) zobowiązuje się do budowy własnym kosztem szerokiego toru od Kuluszek do Łodzi, oraz do przygotowania wszystkich wojennych potrzeb; 2) chce nabyć obecne akcje łódzkie, wypuszczone na sumę 1,198,000 rubli metalicznych, płacąc za nie 5%-wemi państwowymi papierami metalicznymi, a prócz tego gotowa jest uiszczać akcjonariuszom corocznie do upływu koncesyi żadaną przez nich sumę 24,372 ruble, lub też wypłacić jednorazowo odpowiadający tej rencie kapitał. Jeśli zaś towarzystwo łódzkie nie zechce ustąpić drodze wiedeńskiej akcji swych przed 1886 r., to jest przed terminem wykupu kolei przez rząd, w takim razie droga wiedeńska obowiązuje się przyjąć wtedy drogę łódzką według rachunku i sposobu, jaki zatwierdzi rząd; 3) bierze na siebie wyplatę długu drogi łódzkiej, wynoszącego około 900,000 rubli; 4) przyjmuje gwarancję drogi bydgoskiej, której maksymalna wypłata wynosi 279,045 rs. oraz 5) zobowiązuje się zapłacić rządowi wypływający z gwarancji dług kolei bydgoskiej, który wynosi obecnie 3,087,359 rubli. Jeśli czytelnik przypomnia sobie warunki, proponowane przez drogę dąbrowską, to musi uznać je za mniej dla rządu korzystne od oferty wyżej przytoczonej. Głównie negującym punktem tej propozycji jest zwrot długu kolei bydgoskiej i przyjęcie na siebie obowiązku gwarancji. Czy względem ten przeważał już na szali ministerjalnej — niewiadomo dotychczas, lecz teoretycznie rozstrzygnąć można, że nie mógł on być jedynie decydującym, gdyż rząd musi tu brać pod uwagę przyszłe swe plany co do rozwoju sieci kolejowej. Niejednokrotnie już zaznaczono, że sprawa zakupu drogi łódzkiej jest w związku z widokami wytknięcia linii kolejowej do Kalisza. Ta też okoliczność jest zapewne bodźcem do walki konkurencyjnej pomiędzy głównymi akcyj-

**CHORE SERCE.**

POWIEŚĆ

przez

MATYLDĘ SERAO.

Przełożył z włoskiego Stanisław Kempowski.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

(Dalszy ciąg — patrz Nr. 234).

Marceli otworzył cicho drzwi do salonu. Ciemno tu było; wzrok jego zdawał się jednak szukać czegoś w tej ciemności. Na kominku żarzyło się tylko kilka węgli bezpłomiennym ogniem.  
— Jesteś tu Beatrice? — zapytał.  
— Jestem, — odparła, nie ruszając się z wygodnego fotelu, który stał przy kominku.  
— Czemuż nie przyniesiono jeszcze światła? — zapytał zbliżając się ku niej.  
— Nie wiem, nie kazałam jeszcze przynieść lampy.  
Marceli natrafił ręką na niski fotel, stojący przy kominku i przysunął go jak mógł najbliższej do miejsca, w którym przypuszczał, że znajduje się jego żona. Oczy jego ośniane blaskiem gazowych ulicznych latarni, nie mogły przyzwyczaić się jeszcze do ciemności, jaka panowała w pokoju.  
— Przeszkadzam ci może? — szepnął głosem, który zdawał się być ciepłym powiewem wiatru, tak był cichy i łagodny.  
— Przeszkadzać mi nie możesz, — odparła Beatrice monotonnym głosem.

Marceli nerwowo poruszył ręką. Teraz, kiedy zaczynał rozpoznawać się w tej ciemności, dostrzegł, że Beatrice siedzi tuż koło niego na wielkim fotelu, z twarzą obróconą do ognia; miała na sobie suknię szarą, przybraną ciemniejszym aksamitem; na głębie brązowym kominkowej blachy oparła wazę, zgrabne nóżki, w pantofelkach skórkowych, połyskujących odbitem od ogniska światłem. Na dworze deszcz drobny padał, plusk jego nie dochodził przecież do uszu dwojga młodych, a turkot powozów i ciężki ruch omnibusów przychodził na zabłoconym asfalcie ulicy; w pokoju nie słychać go było prawie przez podwójne okna i spuszczone story. Marcelemu dobrze było przy boku Beatricy w tym cichym, ciemnym i ciepłym pokoju. Zdawało mu się, że znalazł owo, zawsze przez zakochanych marzone miejsce, do którego nie dochodzi trywialne echo tłumy, gdzie powietrze samo zdaje się być miłością napojone, kiedy kochać można zawsze, kochać całą duszą w nieprzerwanym nigdy ciągu, negującym istnienie czasu i przestrzeni.  
W tej chwili zapomniał o lodowej masce, jaką pokryć zawsze się starał gorący, namiętny swój charakter; z dziecięcym zafaniem patrzył na żonę, — zdawało mu się, że pomiędzy nimi niema już wcale ani ceremonialnych konwenansów, ani pewnego braku swobody, który zawsze wobec niej uczuwał.  
— O czym myślałaś teraz, Beatrice? —  
— Doprawdy o niczem.  
— Jakto, o niczem?  
— To jest myślałam o rzeczach, które ciebie zajmować nie mogą.  
— Każda myśl twoja zajmować mnie musi.

Nie odpowiedziała; on machinalnie bawił się frendzlą fotelu, na którym siedział. Dwukrotnie dotknął palcami jej ramienia, nie mógł jednak dostrzedz jeszcze gdzie leży jej ręka.  
— Patrzysz na ogień? — zapytał.  
— Tak.  
— Lubisz pewnie kominkowe światło. Może w jego płomykach rysują ci się różne fantastyczne i gorejące widziadła?  
— Nie. W ogniu widzę tylko ogień.  
— To dziwne, — odparł powoli, ale my południowcy nie znamy marzeń, powstałych przy ciepłym kominku. W naszych palacach zakryte są one zawsze nieużytecznym ekranem, a w zimie zamiast ciepła wieje przez nie wichura zimowa. My, kiedy dokuczy nam zimno, wychodzimy z domu, grzeje nas słońce, światło, powietrze, w którym żyje się, nie marzy. To też uroki ognia są nam nieznanne.  
Beatrice milczała.  
— Parę lat temu, ośm miesięcy przepędziłem w Londynie, ciągnął dalej. Nie dlatego aby mi się podobał pobyt w tem mieście; owszem, wydawało mnie się ono nieraz antypatycznym; ale bawiła mnie niezmiernie szara godzina, spędzana przy kominku. Bawiły mnie dziwne, niepochwytne kształty płomieni, ciągle w ruchu węzowym zmieniające swoją postać...  
Mówił długo, zniżając głos coraz bardziej, urwał wreszcie, jak gdyby do snu prawie ukołysał go dźwięk własnego głosu. Trwało to krótko — chwila marzenia rozwiała się pod wpływem nieprzerwanego milczenia żony.  
— Beatrice?  
— Marceli?  
— Nie słuchasz mnie.

— Owszem, słucham cię z całą uwagą.  
— Tak, ale nie pojmujesz wcale moich fantastycznych przywidzeń? — zapytał z pewnym odcieniem ironii w głosie.  
— W istocie nie pojmuję — odrzekła spokojnie.  
Znowu poruszył się na fotelu i zamilkł. Nic zerwała się, wspomnienia rozwiały się pod wpływem jej głosu. Zdawało mu się teraz, że jest sam w pokoju i rozprawia o śmiesznych i bezsensownych drobnostkach. Był sam, bo go tu nikt nie rozumiał, nikt też odpowiedzieć mu nie mógł. Co za szaleństwo marzył głono!  
Beatrice poruszyła się na fotelu, Marceli wstrząsnął się słysząc ten szelest; jego żona siedziała zawsze przy nim, — a on bawił się frendzlą u fotelu. Ale gdzie była jej ręka? Wiedział wprawdzie, że na poręczy fotelu leży jej ramię, ale jakiś wstyd trwożliwy nie pozwalał mu dotknąć go; przecież pragnął koniecznie, z uporem dziecięcym znaleźć tę rękę; znaleźć — ale nie szukać. Nagle, na twarzy jego zajaśniał uśmiech zadowolenia, tryumfu prawie; nie wiadomo jakim sposobem, dość, że znalazł upragnioną rękę, rękę ciepłą, miękką, której palce pokrywały złote obrączki i pierścionki błyszczące pięknie, drogiemi kamieniami.  
Marceli rozkoszował się swoją zdobyczą; bawił się pierścionkami, rachował je w myśli, porównyując twardość kamieni z miękkością ręki, zimno metalu z ciepłotą ciała.  
Porozmawiał trochę pierścionki na jej paluszkach i z fantazyją zakochanego, pokrywał pocałunkami wolne między nimi miejsca.  
(d. c. n.)

naryszkami dróg żelaznych: dąbrowskiej i łódzkiej z jednej strony, a warszawsko-wiedeńskiej i bydgoskiej z drugiej. Popiera ten domysł i ten fakt, że jak obecnie donoszą, dwa zagraniczne towarzystwa starają się również o nabywanie kolei łódzkiej, łącząc tę operację z planem przyszłej kolei do Kalisza.

## Sprawozdania targowe.

*Giełda warszawska.* Sprawozdanie tygodniowe (do d. 26 października).

Przy wielu ujemnych wpływach, które przy gorszej konstelacji rubli wyjaśniono by na ich niekorzyść, tym razem kursy prawie się nie zmieniły. Ani zachowanie się Borysowskiego w Moskie, które w innych warunkach giełda berlińska komentowała by zapewne jako czynnik ujemny, ani wypadki w moskiewskim uniwersytecie nie zdołały uczynić nieprzychylnym usposobienia dla waluty, której końcówce notowanie wykazuje zaledwie 20-sto i 25-cio fenigową zniżkę w porównaniu z ostatnim zaprzęszlotygodniowem; gdy bowiem stanęliśmy w poprzednim naszym sprawozdaniu na kursie 207,30 i 206,75, tydzień ubiegły zamknął się kursami 207,20 i 206,75. Oscylacje tygodniowe były bardzo nieznaczne; największy kurs dla transakcji gotówkowych wynosił 207,50, a dla końcomiesięcznych 206. Stała przez cały tydzień, większa niż zwykle różnica pomiędzy terminami wskazuje, że bieżące potrzeby są dość obfite.

Giełda nasza mniej już niż w zeszłym okresie sprawozdawczym operowała samodzielnie, lecz i teraz ulegała do pewnego stopnia wpływom lokalnym, które przez dość obfite zaofiarowania remes wywołują zniżkową dla walut obcych tendencję. Miało to miejsce zwłaszcza z początku tygodnia, przez poniedziałek, kiedy do równi berlińskiej nie dopłacano u nas zwykłych kosztów transakcyjnych i we wtorek, w którym to dniu weksle krótkie na Berlin zeszyły nawet znacznie niżżej poziomu berlińskiego, gdyż płacono u nas 48,17 $\frac{1}{2}$ , co odpowiada 207,60, a Berlin wykazywał 207. Na następnym zebraniach giełdowych panowała dotkliwa beczynność, wobec której mała ilość transakcyj normowała się według zwykłego do Berlina stosunku. Wyjątek stanowił jeszcze dzień piątkowy, w którym w trakcie giełdy ofiarowania remes ze strony jednej z instytucji bankowych kurs obniżyły, lecz potem wrócił on do prawidłowej normy. W nadmiernej obniżce remes na naszej giełdzie dostrzegają niektórzy spekulacy, choć trudno wykryć jej źródło i rachuby, do których niepomyślnie warunki rynku niebardzo się nadają. Za weksle długoterminowe na Berlin płacono z początku 48,42 $\frac{1}{2}$ , t. j. znacznie wyżej aniżeli za krótkoterminowe, a przyczyna tego leżała w droższym dyskonta prywatnego w Berlinie; potem atoli kurs ten spadł na 48,30—48,35, lecz w ostatnią sobotę znowu się podniósł na pierwszy poziom. Wykazane już wyżej falowanie krótkoterminowego Berlina tak się wyraziło w cyfrach: 48,27 $\frac{1}{2}$ —48,17 $\frac{1}{2}$ —48,30—48,32 $\frac{1}{2}$  i 48,37 $\frac{1}{2}$ . Eksportowe remesy z długim terminem o-

biegały po 48,22 $\frac{1}{2}$ —48,30, z krótkim zaś po 48,22 $\frac{1}{2}$ —48,17 $\frac{1}{2}$ . Funtury były znowu zaniedbane i wahały się między granicami 9,76—9,80. Za franki płacono 38,97 $\frac{1}{2}$ —39,05. Guldeny dość obficie oddawane często zmieniały notowanie, tak, że ich skrajne kursy brzmiały: 80,30—80,75.

Tendencja wartości publicznych nie zmieniła się, ale ruch był nader umiarkowany. Listy zastawne ziemskie sery I osiągnęły cenę: w odcinkach A 97,35—97,20, B 97,25—97,30, choć płacono i 97,15, małe zaś 97,20. Serya II bez ruchu ofiarowaną była po 97. Serya III również nie skutecznio transakcyj, a chciano ją oddawać po 96,75. Za seryą IV płacono 95,80, potem wyżej o 15 i 20 kop. Z listów miasta Warszawy obracano tylko dość obficie seryą IV po 92,35—92,45 i w niewielkiej ilości III po 92,70; I i II ofiarowane były po 95—94,75 i po 93. Obligami miejskimi dokonano transakcyj po 90,80. Z łódzkich listów nabyto partję s. III po 83, a I zaś chciano płacić 84,80. Listy likwidacyjne podniosły się w żądaniach na 88 i 87,65, stosownie do wysokości odcinków; za duże płacono raz 87,30 i 87,25. Pożyczka wschodnia trzyma się ciągle wysoko, między granicami żądań: 94,60—94,85; do obrotów nie przyszło.

Akcyje bez ruchu. Z zaofiarowań wypadła zaznaczyć zaofiarowania akcji banku handlowego po 320, dyskontowego po 318, warszawskiego tow. fabr. cukru po 1,200; józefowski po 440; za Dobrzelin chciano płacić 1,100, a za Czersk 285.

*Targi warszawskie.* Sprawozdanie tygodniowe (do dnia 26 października).

*Wełna.* Choć dziś można uważać za fakt stwierdzony, że interesy fabryczne w dalszym ciągu niezbyt świetnie funkcjonują, ruch na rynku wełny nie ustaje, co też jest nietylko skutkiem znacznego ożywienia produkcji, ile następstwem niezaopatrzenia się w porę w towar. W tygodniu minionym czyniono znowu dość obfite zakupy; obejmowały one około 170 centnarów wełny krajowej i około 700 rosyjskiej. Towar nabywali przeważnie fabrykanci tomaszowscy i białoostoccy. Wiadomo nam również że na prowincji zawierano dość liczne transakcje. Rynek nasz i składy bankowe, w których zapasy dotkliwie się już uszczupliły, mają teraz nowy napływ wełny z prowincji i z Rosji, tak że nie potrzeba się obawiać wyczerpania towaru. Zewsząd nadchodzą też wieści o licznych kontraktowych zakupach z przyszłej strzyży, co jest pewno następstwem nauki, jaką mieli kupcy i fabrykanci w roku bieżącym; liczyli oni na korzystniejszą dla siebie konjunkturę po jarmarku i doznali zawodu. *Zboże.* Dówoz w tygodniu minionym uszczuplił się, a popyt przeważał. Pod tym wpływem początkowa tendencja ku niżce musiała ustąpić mocniejszemu usposobieniu, a ceny utrzymały się na zeszłotygodniowym poziomie. Zyto, którego było stosunkowo mniej na rynku, zyskało nawet 10 kop. na korcu. Z popytem występowała mniej obficie konsumpcja miejscowa niż wywozowcy prowincjonalni, którzy zakupili też przeważną część zapasów. Na targu Witkowskiego płacono za pszenicę wyborową 6,75—7,20, średnią 6,15—6,60, ordynaryjną 6—6,15;

żyto wyborowe 4,70—5,35, średnie 4,20—4,65; ordynaryjne 4; jęczmień wyborowy 4,50—5; średni 4,10—4,20; ordynaryjny 4; owies 2,85—3,30; grykę 4,20—4,80; groch 6—7; kaszę jaglaną 1,10—1,25. Na targu prazkim płacono za pszenicę wyborową 1,13—1,14, średnią 1,03—1,10, ordynaryjną 89—98; żyto wyborowe 85—87, średnie 82—84; ordyn. bez ruchu; jęczmień 80—90; groch 80—95; grykę 90—95. *Okowita.* Po długim zastoju w interesie okowity, tydzień ubiegły zaznaczył się znowu większym ożywieniem. Pod tym wpływem składnicy i dystylatorzy musieli podnieść cenę, która dziś waha się między 2,60—2,62 za garniec. *Cukier.* Warunki targu cukrowego są coraz niepomyślniejsze. Obecnie, nie tylko spekulacja najzupełniej jest obojętną i stara się pozbyć swych zapasów, do których rachuby ją omyliły, ale nawet zwykła konsumpcja jakby zmalała i ograniczona potrzeby do minimalnych rozmiarów. To też ceny brzmiały znowu niżej. Za Hermanıną płać tylko wyjątkowo 4,27 $\frac{1}{2}$ , za Oryszew 4,25 za Leonów 4,20, za ostatnie zaś marki 4,05—4,12 $\frac{1}{2}$ , za marki rosyjskie płać 3,75—3,82 $\frac{1}{2}$ . Kostki wyższej ceny nad 3,65 osiągnąć nie mogą. Interes mąki jest może najbardziej ospały; za towar w pojedynczych workach płać 3,15, a w transportach wagonowych 3,07 $\frac{1}{2}$ —3,12 $\frac{1}{2}$ . *Olej* rzepakowy płacony jest po 5 rs., lniany zaś po 5,50.

## PRZEMYSŁ I HANDEL.

*Warszawa.* Dokładne wiadomości statystyczne o fabrykach warszawskich i pracujących w nich rzemieślnikach mają być zebrane do dnia 13 listopada r. b. W tymże czasie dozorca targowy zobowiązany też został do ułożenia wykazu nowopowstałych zakładów przemysłowych i fabryk, oraz o zwinięciu ich lub przejściu w inne ręce.

*O nowej fabryce* donosi „Kuryer warsz.”: „W miesiącu ubiegłym liczba fabryk w kraju naszym powiększyła się o jedną. Jest nią syropiarnia, urządzona w obszernym budynku fabryki mączki kartoflanej, odległej od Nowej Aleksandry (Puław) o 2 wiorsty. Pierwsze próby warzenia syropu wypadły pomyślnie; dwa wyrobione dotychczas gatunki odznaczają się podobno dobrym smakiem, klarownością i posiadają kolor biały i jasnożółty. Ciężkość gatunkowa wyrobu wynosi 40, zawartość zaś cukru około 60%. Nowy zakład przemysłowy należy do p. Bernsteina, przemysłowca warszawskiego i jest drugą tego rodzaju fabryką w kraju naszym.

*Z Galicyi* pisze korespondent „Kuryera codziennego” co następuje:

„Galicya posiada jedną finansową instytucję, która zaszczyt jej przynosi a tą jest „Stowarzyszenie wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie.” Instytucja ta mnogie dla kraju położyła zasługi, z których jedną tutaj podniosę. Zorganizowała ona „towarzystwa zaliczkowe” najprzód w Krakowie, potem w kilku innych miastach i miasteczkach, zasilając nietylko funduszem ale i opieką, którą je tak długo otaczała, jak długo towarzystwa same o własnych siłach istnieć nie były w stanie. A i później jeszcze każde nowozawiazujące się, znaj-

dowało w niej pomoc. Jak dalece towarzystwa te rozwijały się, pouczą nas cyfry.

W r. 1874 było 77 stowarzyszeń z 14,002 członków, posiadającymi udziałów 737,244 złr., wkładkę 1,184,001 złr. Stan pożyczek wynosi sumę 1,858,585, obrót kasowy 8,934,860—czysty zysk 61,232 złr.

Popatrzmy teraz w r. 1883 jaka olbrzymia różnica!

Towarzystw 221 z 99,778 członkami posiadającymi udziałów 4,491,349, wkładkę złożonych 9,167,073, kredyt innych instytucji 2,385,790, stan pożyczek 15,792,651, obrót kasowy 106,648,894, czysty zysk 387,158.

## Kronika Łódzka.

(—) *Nabożeństwo* z powodu setnej rocznicy urodzin barona Mojsesza Montefiorego odbyło się w niedzielę o godzinie 4-ej po południu w synagodze na Nowym Rynku, przy nader licznych udziałach pobożnych.

Po uroczystym odśpiewaniu właściwych modlitw, zabrał głos dr. Horowicz z Wrocławia, umyślnie na ten dzień do Łodzi przybyły i w języku niemieckim przedstawił barwnie i z nastrojem odpowiednim uroczystej chwili, długoletnią działalność jubilatka, wzywając obecnych do brania sobie przykładu z tego męża.

(—) *Pan policmajster* miasta Łodzi zawiadamia mieszkańców, że dorozki oznaczone NN. 40, 73, 106, 109, 117, 118 i 317 zostały wycofane z użytku publicznego, jako nieodpowiednie i nieporządne. Pan policmajster uprasza mieszkańców, ażeby dorozek, oznaczonych powyższymi numerami nie używali.

Uważamy, że jestto najwłaściwszy sposób zreformowania niemożliwych wehikułów łódzkich. Wdzięczni też jesteśmy władzy policyjnej za powyższą inicjatywę, — upraszamy również mieszkańców, ażeby poparli usiłowania władzy i omijali dorozki złe i brudne, inaczej nie pozbedziemy się ich nigdy z bruku miejskiego.

(—) *Zarząd stowarzyszenia* spożywczego — wszedł w ostatnich dniach w stosunki handlowe z następującymi firmami:

1) Jan Macznik, skład wyrobów stołarskich, ulica Północna nr. 211a.

2) Ludwik Krykus, skład towarów bławatnych.

3) Adolf Bechtold, rzeźnik ulica Wschodnia nr. 1409.

4) Karol Patz, masarz, przy ulicy Piotrkowskiej.

Oprócz tego zawiązał stosunki z dyrekcją teatru polskiego.

(—) *W teatrze „Victoria”* powtórzone w sobotę piękną operetkę Millöckera p. t. „Wesoła dwójka,” a przedstawienie to dowiodło zarówno pod względem napływu publiczności, jak i wykonania, że operetka liczyć może na trwałe powodzenie w mieście naszym. Poszła też ona o wiele lepiej niż na pierwszym przedstawieniu. Nawet pan Dłuski tym razem był lepszym Ollendorfem, a orkiestra trzymała się dobrze; pan Czysztogórski zasługuje na pochwałę, że nie siłił się gwałtem na wydobycie forsownych tonów, ztąd duet z panną Texel nie pozostawiał nic do życzenia. Jedynie reżyserzy zriobilibyśmy uwagę, że niedosyć zwracają uwagi na drobne akcesoria, — tak np. w

## LISTY Z WARSZAWY.

(Dokończenie—patrz Nr. 241).

Usprawiedliwiają swą nazwę, buszmani szukają sobie najdzikszych, najodludniejszych okolic. Za mieszkanie służą im jaskinie lub rozpadliny skał, żyją przeważnie z myślistwa, lekając się zarówno czarnych sąsiadów swoich, jak europejczyków, a co prawda, trwoga ich jest zupełnie usprawiedliwioną tem, co od nich doznają.

Myślistwo rzadko dostarcza im dostatecznego pożywienia, głównie zwierzyną; antylopy trzymają się więcej miejsc otwartych, na które buszmani lekają się zapuszczać i polować; brakowi więc dostatecznego pożywienia przypisywać można nadzwyczajną chudość tej biednej, upośledzonej rasy i słabe rozwinięcie mięśni. Głód jest najpoważniejszym czynnikiem w życiu buszmana, przesładując go od kolebki do grobu, a ten niedostatek środków spożywczych wpłynął ujemnie musiał na ich obyczaje; w tych warunkach bowiem życie rodzinne rozwijać się nie mogło, a dzieciobójstwo, oraz porzucanie na pastwę dzikich zwierząt i głodu starców osłabionych wiekiem, jest następstwem nieustannej walki o środki utrzymania.

Dając te wszystkie ciekawe szczegóły o najbardziej zacofanej rasie starego ładu, Rehman porównywał ją słusznie z rasą australczyków, mającą z nią wiele cech wspólnych, wyrobionych jednakiemi warunkami.

U buszmanów, tak jak w całej Afryce, małżeństwa zawierają się przez kupno dziewczęcia od jej ojca lub rodziny, ponieważ jednak buszmani żadnej rzeczy wartościowej nie posiadają i kupno jest u nich z tego powodu niemożliwym, zastępują je w ten sposób, że nowożeńiec zostaje czas jakiś przy rodzinie żony, której obowiązany

oddawać część upolowanej zwierzyny. Pomimo trudności wyżywienia, poligamia istnieje pomiędzy buszmanami, jak i innemi plemionami afrykańskimi. Nie mają oni jednak imion rodowych, odznaczających wyższy stopień cywilizacji, ale tylko imiona osobiste.

Dziwaczny ten ludek posiada język szczególny, język może najbardziej pierwotny, jaki na kuli ziemskiej istnieje. Charakter jego polega na głosach młaskających, które występują w każdym wyrazie i nadają mu dźwięki, do żadnego innego niepodobne. Naśladowanie tych głosów jest dla Europejczyka prawie niepodobnem, zdaje się, że i krajowcom niemało sprawia trudności, bo mówią zawsze powoli, a gdy mówią, cała ich twarz znajduje się w ciągłym ruchu. Młasnien takich jest w języku buszmańskim sześć, cztery bywają wydawane za pomocą języka, jedno za pomocą warg, a jedno wychodzi głęboko z gardła. Młaski te, są to cechy narodów pierwotnych,—zacierają je cywilizacja.

Badacze języka buszmanów twierdzą, że posiada on do dziesięciu tysięcy wyrazów; pojęcie liczb jednak jest dla tego rodzaju dzikich, stojących na najniższym stopniu rozwoju, tak abstrakcyjnym, iż do trzech tylko rachować umieją.

Jakkolwiek misonarze zaprzeczają im zupełnie pojęć religijnych, zarzut ten przecież, według Rehmana, słusznym nie jest, stosownie bowiem do swych pojęć, oddają oni cześć rozmaitym przedmiotom, zwierzętom, ciałom niebieskim i t. p.; jestto więc fetysyzm lub sabeizm—pierwsza forma religijna ludów pierwotnych.

W mitologii buszmanów, dość zresztą skomplikowanej, jedną z najgłówniejszych figur jest bóstwo, noszące nazwę prostoskrzydłego, rozpowszechnionego owadu, który zoologowie nazywają modliszką,—żoną jego jest znowu pospolite zwierzątko z rodzaju borsuków, przybraną córką tej oso-

bliwej pary jest jaszczurka, a wnukiem ich nemnon. Pomiedzy rodziną złożoną w ten sposób dzieją się rozmaite przygody, w których zabijają i wskrzeszają jedni drugich po kolei. Zwierzęta wprowadzone do buszmańskiego olimpu, zachowują właściwy sobie charakter przy nadprzyrodzonych siłach, a całość rozwija się w rozmaite dramaty, do których wchodzi wiele innych zwierząt, z przymieszką lub też bez przymieszki boskiej potęgi.

Osobliwa ta rasa buszmanów posiada przytem popęd artystyczny i zdobi swoje dzikie siedziby rysunkami, wykonywanymi z wielką starannością na skale za pomocą ostrego narzędzia lub farby ceglasto-czerwonej, czarnej, żółtej i białej. Przyrządzanie tych farb świadczy już o pewnym przemysle, tem dziwniejszym, że skierowanym do rzeczy nienależących do koniecznych potrzeb, ale zupełnie zbitych. Barwniki otrzymywane są z rozmaitego rodzaju ziemi, pomieszane z tłuszczem zabitych zwierząt. Do nakładania farb używają jedynie patyczków; po brzegach malowideł znajdują się często linie skrobane, dla nadania im zapewne większej wyrazistości. Figury rysowane ostremi narzędziami mają jedynie kontury.

Znajduje się pomiędzy malowidłami wiele postaci zwierzęcych, osobliwie antylop; oprócz nich są tam strusie, hyeny, szakale, ichnemny, węże, jaszczurki; mniej częste są postacie ludzkie. Zdarzają się jednak i grupy przedstawiające nawet skomplikowane sceny walk lub polowań, a w tym razie myśliwi mają na twarzach maski zwierząt, na które odbywa się polowanie.

Jeśli chodzi o przedstawienie walki, podziwiać należy trafność w oddaniu odmiennych cech walczących hufców. Buszmani malowani są nadzy, drobni, barwy czerwonej, ubrodzeni tylko w łuki i strzały,—kafrowie zaś, ich zajadli nieprzyjaciele, uzbrojeni w asagaje i palki drewniane, są

wielcy i czarni. Koloniści europejscy wstępują na koniach. Postacie mitologiczne spotykają się bardzo rzadko i trudne są do zrozumienia.

Te artystyczne objawy stanowią dziwne zaiste zjawisko,—świadczą o szczególnem uzdolnieniu buszmanów, o zmyśle obserwacyjnym i krytycznym; często bowiem spotykają się figury zamazane, jakby artysta niezadowolony ze swej pracy starał się zatrzeć jej ślady. Ma się rozumieć niema w nich i być nie może perspektywy żadnej, jak jej niema na wszystkich rysunkach pierwotnych. Te usiłowania artystyczne przypominają staro-egipskie i meksykańskie tego rodzaju zabytki, jakkolwiek meksykańie i egipcyanie znajdowali się, stosownie do tej upośledzonej rasy, na stopniu wysokiej kultury, tymczasem znawcy wyżej od innych stawiają rysunki buszmanów. Rysunki te są zwykle drobnych wymiarów, postacie ludzkie nie przenoszą zwykle 6-ciu cali.

Głównym badaczem języka, podań, mitologii, oraz obyczajów buszmanów był zmarły przed kilku laty doktor Blek; zajmował się on ze szczególnem zamilowaniem tą najodludniejszą z ras ludzkich, wyuczył się ich języka i zebrane o uich wiadomości złożył w obszernem dziele, które nieszczęściem dotąd pozostaje po większej części w rękopisnie—z zebranych bowiem przez niego materyałów zaledwie dziesiąta część wydana została.

Z tych to wiadomości, niedostępnych dotąd dla ogółu, korzystał Rehman i one to nadają szczególną wartość tej części jego książki, którą poświęca buszmanom, gdyż rzuci światło wyraźne na rasę pierwotną, małoznaną, a przedstawiającą obszerne pole do studyów antropologicznych, etnologicznych i etnograficznych, oraz do badań porównawczych podań i mitologii plemion pograżonych dotąd w dzikości.

Walerya Marrené.



